Sternik

tygodnik dla młodych

ROK II Nr. 22—23 WARSZAWA, 25 GRUDNIA 1930 R. CENA 50 GROSZY



„ULICA DRZEW WIGILIJNYCH".

W mieście Altadena, (przedmieście Pasadeny) w Kalifornji istnieje „Ulica Drzew Wigilijnych", wysadzona blisko dwustoma cedrami himalajskiemi. W wigilję Bożego Narodzenia zapalają na wszystkich drzewach kolorowe światła elektryczne ładnie rozmieszczone między gałęźmi. Jak pięknie wygląda ta „choinkowa" aleja na tle pokrytej często śniegiem góry Sierra Madre, możemy przekonać się z powyższej ilustracji.

Tak, jak przed laty

Stół przysypano sianem, staroświeckim obrusem przykryto. W kątach stanęły snopy zboża. Właśnie tak, jak sto, albo dwieście lat temu. Nawet obrus na stole stuletni, pra-prababki ręką haftowany. Obrus dostojny, adamaszkowy, na wielkie uroczystości ze skrzyni, skarbca domowego, wyjmowany.

Na stole, przed nakryciem pani domu opłatki leżą piękne kolorowe. Dzielić się zaraz niemi będą: najpierw pani domu z każdym, a potem wszyscy między sobą i życzyć będą **Dosiego roku.** Tak jak przed laty...

I wszystko jest tak, jak zawsze bywało. Te same zwyczaje, które zatraciły już nieraz swój cel pierwotny, a stały się tylko symbolem. Bo wszystko jedno, poco! Jest tak, jak jest, bo tak było. Bo niczego zmienić nie można w ten najdziwniejszy w roku wieczór wigilijny, wieczór dizwów i wróżb.

Czy pełny kłos, czy pusty ze snopa się wyciągnie? Urodzaj, czy głód?

Z której strony przyszły mąż się zjawi? Czy prędko będzie wesele?

A ileż jest sposobów zapobiegania nieszczęściom! Trudno wszystkie wyliczyć. Kto nie chce płakać przez cały rok (któżby chciał!?), nie powinien płakać w dzień Wigilji. Lepiej też nie pożyczać w ten dzień pieniędzy. I nie pić wody, boby się przez cały rok miało pragnienie. Zato dobrze jest umyć się w wodzie, z zanurzonym pieniądzem.

Na urodzaj też jest sposób. Trzeba być pierwszym na pasterce, a zboże urośnie, jak las.

Miasto zapomniało dawno o tych wróżbach i przedziwnych sposobach. Przechowały się na wsi. Rzadziej we dworach, częściej w chatach chłopskich, tam, gdzie życie wlecze się wolniutko, krok za krokiem, jak ciężkie, spracowane nogi za pługiem.

Chata pamięta najlepiej stare zwyczaje. Z chaty, po Wigilijnej wieczerzy idą gospodarze do stajni i obory. Dają koniom i krowom resztki jedzenia, okruchy opłatka i słomę, która w kątach izby w snopach przy wieczerzy stała. Ba słomy takiej nie godzi się rzucać na poniewierkę. Prawie że święcona!

Z obory i stajni idą do sadu. Tam drzewa słomą opasują, aby lepiej rodziły. A jeśli są ule, to i do ulów zapukają, aby miodu było więcej.

Resztę słomy gospodarz w polu spali. W ten sposób chwasty z pola wygania.

Tak bywa na wsi. Ale na takiej prawdziwej, zapadłej wsi.

Na takiej wsi, w noc wigilijną muszą się dziać dziwy... Na śniegu kwiaty kwitną, a zwierzęta ludzkim głosem mówią.

„ — Kużde stworzenie, trawka kużda, choćby i ta najmarniejsza, kamuszek najmniejszy, nawet ta gwiazda ledwie dojrzana — wszystko dzisiaj czuje, wszystko wie, że Pan się narodził!"

Tak powiada Rocho w „Chłopach" Reymonta.

I dlatego Witek i Józka wierzą głęboko, że krowy mogą im ludzkim głosem odpowiedzieć.

„...dufność serdeczna i wiara w nich była, bo Witek nachylił się aż do samego ucha i szepnął drżąco:

— Siwula! Siwula!

Nie odrzekła ni tem słowem jednem, postękiwała ino, żuła, ruchała gembulą, pomlaskując ozorem.

— Cosik się jej stało, że nie odpowiada, może za karę.

Przyklęknęli przy drugiej, i znowu Witek zapytał ale już z płaczem prawie:

— Łaciata! Łaciata!

Przywarli oboje do jej pyska, słuchali z zamarłym tchem, ale nic nie usłyszeli, ani słowa, nic...

— Grzeszniśmy pewnie, to nie usłyszymy, ino bezgrzesznym odpowiadają, a my grzeszne...

— Prawda, Józia, prawda, grzeszne my, grzeszne, mój Jezu... prawda... juści, wziąłem gospodarzowi postroneczki... a i ten rzemień stary... a i te... — nie mógł mówić więcej, płacz go chycił, żal, i to poczucie winy, że aż się zanosił, a Józka też mu serdecznie wtórowała, i tak płakali społem, nie mogąc się utulić, aż wypowiedzieli przed sobą przewiny swoje a grzechy wszystkie..."

* * *

A po Wilji przyszły dni uroczyste świąteczne, pełne śpiewu kolend, szopek, gwiazd wielkich, przez chłopaków noszonych, i Trzejkrólowych pokłonów.

Zatańczyły na jednej nodze kukiełki z szopki: i groźny Herod w złotej koronie, i straszna, biała śmierć z kosą, i djabeł czarny z rogami i widłami, wreszcie krakowiacy, i żydek, i pastuszkowie. Matka Boska nad żłobkiem się pochyliła, a Trzej Królowie pokłon i dary Jezusowi złożyli .Tak, jak co roku.

I jak co roku, wszędzie śpiewano kolendy.

Nie wiem już teraz skąd i w jaki sposób przywędrowała do nas ta dziecięco - naiwna, najpieściwsza z kolend:

Maluśki, maluśki,
Kieby rękawicka.
Tak se lezys, se lezys,
Jak kawałek smycka.
Tsa Ci było, Ci było
Pozostawać w niebie.
Wsak Twój Tatuś kochany
Nie wyganiał Ciebie!
Tambyś pijał, byś pijał
Słodkom małmazyje,
Tu się Twoja gębusia
Gozkich łez napije.
Tambyś jadał placuski
Z carnuskom i z miodem,
Tu się tylko pozywis
Samym ino głodem...

Ktoś kiedyś ją zaśpiewał i została obok poważnej „Bóg się rodzi", słodkiej „Lulaj że Jezuniu" i wesołej „W dzień Bożego Narodzenia". Taka inna, do żadnej z kolend niepodobna. *m. st.*

Wszystkim Prenumeratorom, Czytelnikom i Przyjaciołom,, Sternika" składa serdeczne życzenia „Wesołych Świąt"

Redakcja

O przeszłości i przyszłości

Gdy kończy się rok stary, a nadchodzi nowy, lubimy zazwyczaj robić bilans przeszłości. Nie zawsze ten bilans wypada dodatnio, wtedy zwykle spoglądamy w przyszłość z nadzieją, że nowy rok



Mościce. Ogólny widok fabryki azotniaków.

przyniesie nam większe szczęście, że zrealizujemy to, czego nie udało nam się osiągnąć w roku poprzednim. Dobrze jest jednak zrobić ten rachunek sumienia ze sobą, zdać sobie sprawę ze swoich zamierzeń i osiągniętych w nich wyników. Nie bądźmy tylko w tym bilansie zbyt pobłażliwi dla siebie — jedynie surowa ocena swoich błędów i niedociągnięć pozwoli nam na osiągnięcie lepszych rezultatów w roku następnym.

Tyle rachunek własnego sumienia. Ale pomyślmy i o innym bilansie. Pomyślmy, co się w naszym kraju zrobiło przez ten rok. Gdy chodzi o ten temat, napewno zaraz staniemy się surowymi krytykami. Pobłażliwi dla siebie samych, jesteśmy nielitościwi, gdy chodzi o ocenę dorobku całego społeczeństwa. Wszędzie na każdym kroku można usłyszeć narzekania na „nasze porządki". Wszędzie, w wagonie, na ulicy w sklepiku jest forum dla krytyki własnego państwa i jego urządzeń, a poziom tej krytyki jest taki, że doprawdy nadaje się jedynie do sklepiku.

Nigdzie zagranicą nie zdarzyło mi się słyszeć krytyki własnego państwa z ust cudzoziemców. Gdy spóźni się pociąg w Pradze czy w Paryżu, a w obu tych krajach zdarza się to dość często, nikt nie usłyszy, żeby Czech narzekał na czeskie, a Francuz na francuskie stosunki. U nas, gdy zdarzy się coś podobnego usłyszymy niechybnie zdanie jakiegoś współrodaka, że „tylko w Polsce, Panie dobrodzieju, mogą się zdarzać podobne nieporządki it.d.".

Cechuje nas dziwne nieposzanowanie naszego własnego dorobku, naszej państwowej godności. To się musi zmienić. My młodzi nie pozwolimy na to, aby obniżano godność imienia Polski. Wychowani już we własnem państwie, będziemy zawsze umieli ocenić wartość naszej pracy. Śmiać się będziemy z nierzeczowej krytyki malkontentów, przeciwstawimy jej propagandę polskości, albowiem jest wiele rzeczy, któremi możemy zagranicy zaimponować.

Niedawno czytaliśmy opinję korespondenta jednego z największych pism amerykańskich o tem, jak wielkie wrażenie na przybywającym z Rosji podróżnym sprawia dworzec w Stołpcach. „Z kraju nędzy przyjeżdża się do kraju obfitości" pisze ów korespondent. Inni cudzoziemcy, którzy przyjeżdżają do Polski ze zdumieniem przyglądają się rozmachowi naszej pracy we wszystkich dziedzinach życia społecznego.

Szkolnictwo nasze należy do najlepszych w Europie, a choć jeszcze nie mamy dostatecznej liczby szkół, to przecież co roku przybywa sporo gmachów szkolnych i to gmachów, odpowiadającym nowoczesnym potrzebom. Szkolnictwo wyższe też uzyskuje coraz lepsze warunki rozwoju. Do szeregu nowych gmachów przybył w tym roku gmach Wolnej Wszechnicy Polskiej, wykończono też już wspaniałą



Gdynia. Nadbrzeże Polskie w Basenie Marszałka Piłsudskiego.

budowlę Centralnego Instytutu Wychowania Fizycznego na Bielanach, najpiękniejszą bodaj uczelnię wychowania fizycznego w całej Europie.

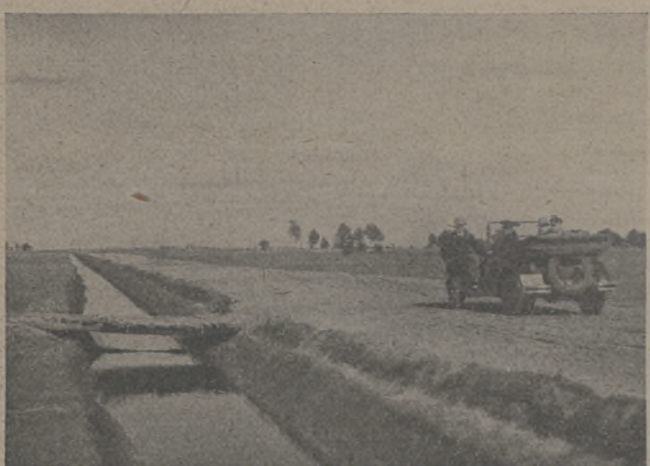
Ministerstwo komunikacji też może się poszczycić dorobkiem, na czele którego stoi otwarcie nowej linji kolejowej Górny Śląsk — Gdynia, linji, która pozwoli nam na uniezależnienie się od Gdańska i obniży znacznie koszt transportu węgla.

Ministerstwo Handlu i Przemysłu może się przedewszystkiem poszczycić Gdynią, która buduje się wciąż w tempie, zadziwiającem nawet Amerykanów. Uruchomienie zaś wielkiej fabryki chemicznej w Mościcach jest faktem który dla naszego przemysłu i dla rolnictwa (nawozy sztuczne) ma kolosalne znaczenie.

Nie wszystkie zdobycze ostatniego roku są tak łatwe do zauważenia, jak nowe gmachy lub linje kolejowe. Gdy jedziemy autem po dobrej szosie, nie wiemy często o tem, że przed rokiem była tam błotnista polna droga. Jadąc nie widzimy często, że pola są zmeljorowane a tysiące hektarów dawnych nieużytków zmieniło się w ziemię orną. Ale choćby w przygodnej rozmowie z wieśniakiem dowiemy się może, ile gruntów zdążono rozparcelować w tym



Centralny Instytut Wychowania Fizycznego na Bielanach.



Nowozbudowana droga przez błota Kokożyckie w powiecie Drohiczyńskim.

roku, powiększając tem ośrodki małorolne i usłyszymy o tem, jak wiele gospodarstw scalono, przez co gospodarka wieśniaka ułatwia się niezmiernie. Może dowiemy się też, ile zorganizowano kursów rolniczych, które podnoszą poziom oświaty rolnej, a przez to i gospodarkę całego kraju.

Zamiast biadać i narzekać notujemy ten dorobek. Wynotujmy sobie z gazet i z opowiadań znajomych wszystkie te fakty, które mówią o rozwoju naszego kraju, a w ten sposób będziemy mieli rzeczywisty i jasny obraz naszej teraźniejszości. Nie można w krótkim artykule poruszyć wszystkiego, co możnaby o tej sprawie powiedzieć. Trzebaby pisać tomy, przytaczać cyfry, całe kolumny cyfr. Ale czy podany przeze mnie projekt wynotowywania w roku przyszłym wszystkich takich zdobyczy nie zainteresuje czytelników „Sternika", czyż nie będzie to doskonała praca nad zagadnieniem „Polski współczesnej", praca, którą zainteresujecie niewątpliwie swoich kolegów i znajomych. A możeby tak czytelnicy Sternika wypowiedzieli się w tej sprawie — Redakcja mogłaby wtenczas ogłosić odpowiedni konkurs. Czekamy waszej opinji. *W. P.*

J. KADEN - BANDROWSKI.

Drugie śniadanie*)

Za moich czasów śniadanie szkolne podczas wielkiej przerwy we wzorowem c. k. gimnazjum podlegającem Wysokiej c. k. Radzie Szkolnej Krajowej wyglądało mniej więcej w sposób następujący:

Z odgłosem dzwonka rzucaliśmy książki i zeszyty do pulpitów (czterech uczniów siedziało w jednej ławie) i wyciągaliśmy z tychże samych pulpitów jedzenie.

Jedzenie to było, zależnie od stopnia zamożności rodziców. Byli tacy, którzy przynosili bułki z szynką, pasztetem, — po dwie, trzy; albo też bułki z piersią kurzą, czy indyczą. Byli tacy, którzy mieli bułki tylko z masłem, byli też tacy, którzy przynosili chleb suchy, — lub wcale nic na drugie śniadanie nie mieli.

Bułki z szynką, pasztetem itp. stawały się przedmiotem handlu zazdrości, wyniesienia się jednych nad drugiemi. Stawały się już w najmłodszych klasach przyczyną wielkich różnic klasowych pomiędzy uczniami, podziału na maminych synków i zwykłych synków, ba, — niejednokrotnie powodem do

*) Przedruk z „Gazety Polskiej".

dawania w ławce t. zw. sera, powodem walk, bójek i nienawiści.

W klasach wyższych od pierwszej, gdy uczniowie mogli byli już obracać pieniędzmi, śniadanie we wzorowem gimnazjum, podlegającem c. k. Wysokiej Radzie Szkolnej Krajowej wyglądało jeszcze inaczej: Uczniowie tych klas z nastaniem wielkiej przerwy zbiegali wszyscy tłumem na pierwsze piętro do pokoju t. zw. tercjana, czyli bedla, czyli woźnego szkolnego i tu, — powiedzmy otwarcie, — pod auspicjami nieświadomej swych metod c. k. Wysokiej Rady Szkolnej Krajowej wciągali się w nieśmiertelną rutynę małopolskiego „pokoju do śniadań".

Bufet tercjana, prowadzony dla uczniów przez pana tercjana i jego małżonkę, był przecież pierwszym stopniem tego śniadankowego raju, który społeczeństwo męskie Małopolski rozpoczynało w gimnazjum a kończyło na najwyższych wtajemniczeniach u Hawełki (w Krakowie) u Musiałowicza (we Lwowie) i innego jakiegoś iksa, lub ipsylona w Stryju, Tarnowie, Kołomyi, czy Wadowicach.

W gimnazjalnym bufecie tercjana można było dostać herbaty, kawy, kiełbasek itp. Bułka z jedną parówką kosztowała trzy centy, bułka z dwiema parówkami pięć centów.

Można tu było też dostać babkę, polaną lukrem, bywały nawet ciastka migdałowe i nawet torty.

Całe gimnazjum zbiegało oczywiście na wielką przerwę do tego wyszynku tercjana, gdzie uczniowie panowali bezpodzielnie. Panowali oni tu bezpodzielnie, — nie wypadało bowiem wówczas, by nauczyciele, czyli panowie profesorowie jedli razem z uczniami drugie śniadanie.

Panom profesorom zanosiła śniadanie do pokoju profesorskiego tercjanowa i każdy uczeń ówczesny pamięta chyba z jakim szacunkiem oraz zazdrością spoglądano wśród uczniów na serwetami okryte, dymiące tace ze śniadaniem dla profesorów.

Tak więc panowanie uczniów w restauracji szkolnej było do pewnego stopnia panowaniem parjasów, z którymi wyższy szczep, rasa, czy klan profesorów nie mógł wspólnie śniadać.

Tu, każdy z nas, dawnych uczniów wzrowego ówczesnego gimnazjum pamięta chyba ów tak charakterystyczny widok: Bogacze jedli po dwie, trzy bułki każda z parą gorących kiełbasek, popijali to herbatą, lub kawą i zagryzali jeszcze tortem.

Średniacy jedli jedną bułkę z jedną kiełbaską.

Pod ścianą zaś stał tłum kolegów - biedaków, którzy nie mając pieniędzy na śniadanie chcieli być przynajmniej w pokoju, w którym się je. Nie mając na kiełbaski, — chcieli przynajmniej powąchać ich zapachu.

Kupowanie śniadań u tercjana miało też bardzo korzystną stronę — moralną.

Uczeń, który u państwa tercjanów dużo jadł i dużo tam kupował, cieszył się znacznemi przywilejami. Ucznia tego nigdy na niczem tercjan nie przyłapał, podczas gdy innych śledził bardzo czujnie. Uczeń taki mógł scyzorykiem rżnąć ławę, rzucać gąbką, smarować czy kopać tablicę, wybić szybę kamieniem — dzięki dobrej marce u tercjana był zawsze niewinny.

Co więcej: Uczeń taki stołujący się obficie u tercjana, mógł dowiedzieć się ukradkiem o stopniach swych zapisanych w katalogu profesorskim, trzymanych przed ogółem w tajemnicy.

Wystarczy chyba przypomnieć tych kilka elementów, tyczących drugiego śniadania w ówczesnem gimnazjum, by uświadomić sobie, że było ono szkołą korrupcji, chamstwa, krzywdy i wstrętnego serwilizmu.

Parę dni temu szukając kogoś ze znajomych w jednem z t. zw. wzorowych gimnazjów warszawskich, trafiłem tam właśnie na porę drugiego śniadania. Przyznaję otwarcie, że to co zobaczyłem tu, wydało mi się, — mnie uczniowi c. k. gimnazjum wzorowego, — snem, fantazją, czy też spełnieniem nieziszczalnej utopji.

Z uderzeniem dzwonka, ze wszystkich stron gmachu zbiegają uczniowie parami, razem z nauczycielami do refektarza, znajdującego się w oddzielnej części gmachu. Obecność profesorów (za naszych czasów byli to przecież ludzie niedostępni) w niczem nie krępuje uczniów.

Refektarz wygląda jakby jakaś sala śniadań na okręcie, czy też sala w sportowym letnim klubie, malowana wielkiemi pasmami jasnych żywych kolorów.

Każda klasa ma tu swój rząd ławek, od pierwszej do najwyższej klasy ciągną się te ławki przez długość całej sali.

Każda klasa ma na swym długim stole bukiet polnych kwiatów. Każda klasa je razem ze swym wychowawcą bez żadnych ceremonij obłudnych. Jedzą wszyscy to samo. Gorącą zupę, chleb z masłem, czy też kakao, czy kawę owsianą.

Rozdane to jest wszystkim w przeciągu dwóch trzech minut najwyżej, przez panie, matki uczniów, należące do odpowiedniego komitetu szkoły.

Chłopcy wszyscy jedzą na porcelanowych talerzach, mają serwetki bibułkowe do ocierania ust.

Nikt nikomu nie służy, — wszyscy wzajemnie pomagają sobie.

W głębi sali jest stół dla nauczycieli. Taki sam jak dla uczniów. I nauczyciele i sam pan dyrektor (czemże dla nas w naszych wzorowych szkołach był dyrektor — wcieleniem grozy i przerażenia) je to samo, co uczniowie.

Panie komitetowe szkoły w białych czepcach i w białych fartuchach roznoszą szybko i sprawnie zupę, dokrawują uczniom chleba, podają masło.

Bo tu niema służących żadnych,—objaśnia mnie znajomy chłopaczek, — te panie to są nasze matki.

Zaproszono mnie na to śniadanie. Była zupa ziemniaczana, bardzo dobra, jak w domu, chleb z masłem i doskonałym pasztetem z jajek.

Płaci się za to 10 złotych miesięcznie, wprost na ręce komitetu.

Usiadłem w niskiej ławce, i doznaję wrażenia,— gdybym je potrafił określić! Przypomina mi się dawne gospodarstwo tercjana we wzorowem c. k. gi-

mnazjum i jakby od tego czasu do dziś minęło nie lat trzydzieści — lecz trzysta!

Wrażenie, — jakbyśmy się wychowywali w zamierzchłej epoce dzikości, brudu i szarości a nasze dzieci, jakby się cudem jakimś znalazły w prawdziwej wymarzonej Europie, w kulturze, w szczęściu!

I jeszcze inne uczucie, które rozsadzać zdaje się piersi falą szczęśliwego śmiechu: że nie można nie wierzyć w postęp, w istotny wielki, żywy, piękny postęp człowieczeństwa! Trzydzieści lat minęło i już nasze dzieci wychowują się w warunkach kulturalnych o trzysta lat lepszych!

Że to się dzieje u nas, w Polsce!

I że z pokolenia tak chowanego w polskiej szkole średniej muszą przecież wyróść ludzie lepsi od nas.

Przyznaję szczerze, że w tej chwil w refektarzu szkolnym podobnym do pięknej sali okrętowej, jasnym wesołym, jedząc ziemniaczankę, którą podają uczniom same matki, — że w tym jazgocie i rwetesie czterystu głosów świeżych i tak głośnych, w tym huku wezbranej młodości — byłem nagle bliski płaczu.

Na deskach nart

Kurs narciarski... Przyjechali wszyscy z pewnemi minami. Już samo przewożenie nart w wagonie dostarczyło szeregu atrakcyj i było dostatecznym powodem do spoglądania z wyższością na zwykłych współpasażerów. Ci współpasażerowie z wielkim strachem spoglądali na dziwaczne deski, które o mało nie spadły im na głowę, ale skończyło się na strachu.

Wieczorem, gdy wszyscy już zjechali się w schornisku, tematem rozmowy był wyłącznie ekwipunek narciarski i smary. Ten chwalił się wiatrówką, tamten rękawicami, ów krytykował kolor owijek czy szalika — jednem słowem wymiana zdań była ożywiona. Tylko instruktor nie brał udziału w ogólnej rozmowie, a jakoś dziwnie się uśmiechał, gdy słyszał np. takie zdania:

— Jakąż ty masz czapkę, okropnie będziesz w tem wyglądać.

Albo:

— Nie wyobrażam sobie, jak można jeździć w takiej kurtce.

O ile jeszcze koledzy dyskutowali trochę o samych nartach i o kijach, to koleżanki nie schodziły prawie zupełnie z tematu ubrania. O samej jeździe tylko nie mówił nikt — ale to przecież musi być takie łatwe. — Ci zawodnicy w Zakopanem tak pięknie jeżdżą...

Na drugi dzień rano zbiórka przed domem. Całe bractwo stoi z radosnemi minami — narty czekają, oparte o ścianę domu. Instruktor każe wziąć narty na ramię, jak karabin, i marsz drogą w kierunku zbocza, gdzie będą ćwiczenia.

O Boże, jakże to trudno nieść te narty. Temu się obsuwają, ta gubi kijki, temu narzną ręce... Przecież mogliby odrazu jechać na nartach, czyż to tak trudno?

GUY GILPATRIC.

Wielki Wąsacz

Tłumaczyła Zofja M. Słomowa.

(Dokończenie).

O drugiej godzinie patrol był gotów — samoloty uszeregowane, zapalone motory, niecierpliwi piloci kręcili się, poubierani już w okulary i pasy ze spadochronami. Tylko „Hush-Hush" Ruthvena, z flagą dowódcy patrolu, trzepocącą przy sterze, miał przy sobie samych mechaników. W końcu zjawił się Ruthven — szedł wolno, oglądając się na wszystkie strony i stawał, wołając: „Kici, kici, tu, tu, tu." Wreszcie cisnął papierosa, wlazł do maszyny, machnął ręką na trzymających i nacisnął gaz. Z ogłuszającym rykiem „Hush-Hush" podniósł swój ogon, przeleciał w dzikim pędzie po trawie i wzbił się w nieprawdopodobnie stromą „chandelle" do góry. Jeden za drugim wylatywały pozostałe samoloty, kierując się na front.

„No i co, był blady, jak śmierć" rzekł jeden z mechaników, zbierając kółka od linek, puszki z zapalnikami i idąc do hangaru. „Mój Boże, a co ty myślisz Alf, a może ten kot był naprawdę szczęśliwy?"

„Czy ja wiem", odparł ponuro Alf. „Chciałbym, żeby się tylko Skoczkowi coś nie przydarzyło."

spokojniej, niż zwykle. Ruthven wiódł swój patrol do góry i na dół, w tył i naprzód, przeszło przez dwie godziny. Raz skierował w stronę Hanowerskiego dwuosobowego samolotu, regulującego strzały 77 baterji, ale ten uciekł, kiedy byli jeszcze daleko.

W rzeczywistości, zaś, na froncie było nawet

Dziwna, niepokojąca cisza, myślał Ruthven, rozglądając się z ukosa przez okulary i gryząc wargi. Wszystko było wogóle takie dziwne dzisiaj. To zabawne, co się stało Wąsaczowi? Ruthven wmawiał sobie, że nie jest przesądny — no tak, to znaczy, nie bardzo... Oczywiście, reszta Eskadry myśli, że nim jest, ale to dlatego, że i oni są tacy sami. A teraz pomyślą, że upadł na duchu po stracie swojej maskoty. Nachmurzył się groźnie przy sterach samolotu, który kręcił się, jak szpulka w przestworzu i wykrzywił z pogardą usta. Już on im pokaże."

Zakomenderował odwrót i kiedy patrol zawrócił w stronę domu, on sam pofrunął na niemiecką stronę.

Na prawo, o jakieś tysiąc pięćset stóp w bok, znajdowały się wielkie skłębione chmury, skierował się wprost na nie. Niemcy lubili czatować za chmurami i Ruthven czuł, że na jego nerwy świetnie będzie, o ile stoczy jakiś samotny pojedynek. Nawet gotów był dać Niemcowi pierwszy strzał, ot tak, dla sportu.

Na zboczu zakładanie nart. Niektóre więżby zapinają się łatwo, and innemi trzeba się dobrze namozolić. Instruktor nie pozwala nikomu pomagać — każdy musi dać sobie radę sam.

No i zaczyna się jazda. Najpierw po równym terenie, zwykły krok narciarski. Znana łyżwiarka zaczyna z miną pewną siebie.

— Cóż to trudnego? Te narty są przecież tak szerokie, że nie można stracić równo... — zaczyna sunąć po śniegu, — „wagi" — kończy siedząc na śniegu i patrząc ze zdziwieniem to na swoje narty, to na instruktora.

Ale innym powodziło się nie lepiej. Temu narty się



Ale już trzeciego dnia wracają z ćwiczeń rozradowane postacie...

rozjeżdżały, ten się przewracał, ów siadał na nartach — jednem słowem wesoły widok.

Po chwili rozpoczął się zjazd po łagodnem zboczu. O Boże!

Piękna narciarko, czy jeszcze myślisz o kolrze swego szalika? A czy twa hustka, unurzana w śniegu jest jeszcze ciągle najładniejsza ze wszystkich?

Istoty, ktore wracają do domu w niczem nie są podobne do wczorajszych „narciarzy". Utytłane w śniegu postacie idą zmęczonym krokie a jedynym powodem do zadowolenia jest chyba ten, że można nieść narty na ramieniu, a nogi mogą... iść. Tak iść. a nie rozjeżdżac się za każdym krokiem. W domu wykrywa się niejeden siniak, niejedno zdrapanie skóry z rąk u tych, co wbrew radom instruktora zdjęli rękawiczki.

To pierwszy dzień.

Ale już trzeciego dnia wracają z ćwiczeń rozradowane postacie. Wprawdzie owijki są porządnie oblodzone. a niejedna hustka nosi ślady zetknięcia się ze śniegiem, to przecież można już wracać do domu na nartach, które suną pięknie, równolegle jedna obok drugiej.

Nastąpiło też całkowite przewartościowanie — piękne szaliki mogą wprawdzie dobrze jeździć, ale mogą też być zupełnymi patałachami którzy nie mogą nadążyć brzydkim wiatrówkom. Ale też w schronisku rzadko się już słyszy o szalach i pulowerach — zato rozbrzmiewają niezrozumiałe dla laika wyrazy:

— Dziś medium, oczywiście na podkładzie ef'ef'u, a piętki trochę mixem.

Instruktor uśmiecha się inaczej i nie milczy już jak poprzednio, a chętnie udziela rad, jak stosować smary i jakie właściwości ma każdy z nich — medium, FF, mix czy klister...

w. p.

Ruthven wjechał w szeroką przestrzeń, jak w ulicę, pomiędzy dwoma chmurami. Słońce oświecało ogromne białe ściany i miał wrażenie, że jedzie po Champs-Elysees.

Kapitan dobrze wiedział o tem, że to niebezpieczne miejsce. Chciałby, żeby go teraz zobaczyli koledzy. „Całe to gadanie o szczęściu."

Nagle, tuzin błaskawic przeszyło maskę motoru. Ruthven zakręcił „Hush-Hush" steram, za pomocą prętu, umocowanego w pasie. Motor nieomal nie rozerwał łożyska i zamilkł. Z chmury po prawej stronie wypadł nieprzyjacielski samolot, plując rozpalonemi do białości strzałami ze swego podwójnego Spandaua. Był to czarny Fokker z czerwonym nosem, groźny ptak zjadliwego pruskiego asa, kapitana Wolffa. Ruthven zadrżał i obrócił swego „Hush-Hush" tak, aby przyjmować kule z przodu i zamknął oczy...

Czekał na końcowy atak: czekał... czekał... Spodziewał się, że dostanie kulę w głowę, nim spadnie w płomieniach. O ileby zaczął płonąć wpierw, wówczas wyskoczy. Zaczął szarpać pas, ale poczuł, że „Hush-Hush" ślizga się po skrzydle, wpadając w straszny, śmiertelny korkociąg. Instyktem wiedziony, otworzył oczy i naprostował go. Wtedy, ze strachem, obrócił się i spojrzał w tył. Daleko, w przestrzeni, czerwononosy Fokker pędził pełnym gazem, równym lotem pszczoły, do domu...

Niech mnie licho porwie" wykrzyknął Ruthven, oddychając z ulgą. „Pędzi, jakgdyby zobaczył widmo."

Znajdował się teraz na wysokości ośmiu tysięcy i niechętnie postanowił osiąść przed frontem. Ale niestety — znów ten fatalny los — dziś, po raz pierwszy od kilku tygodni, zerwał się zachodni wiatr, przeciwko niemu. Rozmyślając, doszedł do wniosku, że nie jest z nim znów tak źle. Lepiej będzie żyć na żołędziowych zupkach w Niemczech, niż teraz stoczyć bój z Wolffem.

Spadł na pole przy szosie, zapchanej wojskiem, rozdarł martwą przykrywę baku, odszedł nieco i strzelił w wyciekającą benzynę. Nim dobiegli doń Niemcy, zrzucił już lotnicze combinaison i rozłożył się wygodnie na trawie z papierosem, patrząc, jak kona w płomieniach „Hush-Hush".

Kapral Niemiec eskortował go z szacunkiem do szosy, gdzie zatrzymano jakiś wehikuł. Po dwudziestu minutach jazdy, wjechali do parku, otaczającego pałac, który często widywał z lotu ptaka i służył widocznie za kwaterę dywizji. Tam został przyjęty przez uśmiechniętego kapitana piechoty, który go wprowadził do biura, podał krzesło i papierosy i wy-

Feljeton o twórczości literackiej

Niema chyba na świecie rzeczy równie łatwej, jak pisanie, a przedewszystkiem pisanie wierszy. Do tego wniosku doprowadziła mnie nie tylko opinja paru wielkich ludzi, z których każdy wyznaje, z dziewiczym rumieńcem zawstydzenia: „Któż z nas w młodości nie pisał wierszy?"

Ten optymistyczny wniosek nasuwa się każdemu, kto ma dostęp do nader obfitego materjału literackiego, nadsyłanego przez młodych czytelników „Sternika" do „Kolumny Młodych Piór".

Czegóż tu niema! Są długie sentymentalne ballady, noszą niezmiennie tytuł: „Duma zakochanego", są wiersze o księżycu, do księżyca, pod księżycem i takie, które dowodzą, iż autorzy na chwilę przed rozpoczęciem pisania spadli z księżyca.

Przychodzą również utworki pełne szampańskiego humoru, t. zw. anakreontyki, w których równie niezmiennie powtarzają się słowa: „krew", „szał", „smęt" i „czara". Możnaby powiedzieć, że myśl zawarta w tych wszystkich „Szaleństwach" jest następująca:

„Niech w zapomnienia szale
Ginie zwątpienia nić (?),
Niech giną smęty, żale —
Hej szaleć, kochać, pić!"

Oczywiście, strofę tę ułożyliśmy sami, ale kto wie, czy nie zawiera ona więcej sensu, niż wszystkie, nadsyłane nam „anakreontyki?"

Najwięcej jednak miejsca w tece „Kolumny Młodych Piór" zajmują wiersze „programowe", wyrażające młodzieńcze ideały, poglądy na świat i wiarę w lepsze jutro.

Ach, to „lepsze jutro!" Powtarza się ono w każdym z tych dytyrambów na cześć „świetlanej przyszłości", tych paszkwilów na dawne i obecne czasy. Biorąc do ręki utwór zatytułowany: „Do pracy!", albo: „Nad poziomy!" — wiemy z góry, że będzie tu mowa o „wykuwaniu nowych dróg", że należy „chwycić młoty w dłoń" i „podnieść ufnie skroń", że trzeba „miecze przekuć na lemiesze" i „dążyć wzwyż", że „młot", że „wzlot", że „rąk", że „mąk" i wiele jeszcze podobnie nowych rzeczy.

×

Z prozą jest nieco inaczej. Tutaj przeżycia liryczne mniej zajmują miejsca, choć zdarzają się kilkanaście stro liczące opisy „niepokojów zakochanego". Nadsyłane nowele roją się od tragicznych sytuacyj i skomplikowanych powikłań psychologicznych, których zrozumieć nie mogą ani czytelnicy, ani — jak się zdaje — autorzy.

Nie brak w nadesłanym materjale artykułów dyskusyjnych, czasem dość poważnie zakrojonych, których jednak naczelną i bardzo typową wadą jest uogólnianie jakichś błahych, wewnętrzno - szkolnych problemów, wyolbrzymianie pojedyńczych, nieznacznych wypadków do rozmiarów ogólno - polskiego zagadnienia. Najczęściej z takiego artykulasa wszystkiemi szwami wyłazi jakaś osobista animozja auto-

---

dawał gardłowe dźwięki, będące w jego mniemaniu, angielskim językiem.

„Bardzo mi miło" mruknął Ruthven z lodowatą ironją.

Ordynans wniósł kawę, co minuta wchodzili inni oficerowie, stukali obcasami, salutowali, kłaniali się i wydawali dziwne dźwięki.

„Bardzo mi przyjemnie", odpowiadał Ruthven na te gardłowe powitania. „Bardzo — bardzo mi miło... doprawdy..."

Po godzinie przed dom zajechał samochód i do pokoju wszedł otyły pułkownik, wnosząc ze sobą promienny, szeroki uśmiech ust, pełnych zębów. Ruthven pomyślał, że ten promienisty blask, podobny jest raczej do światła reflektora — jasny, ale nie przekonywujący.

„Ach, drogi kapitanie Ruthven", wykrzyknął w doskonałej angielszczyźnie, podchodząc z wyciągniętemi rękami. „Niema pan pojęcia, jak mi miło, jaki jestem uszczęśliwiony..."

„Bardzo mi przyjemnie", powtórzył Ruthven mechanicznie, obserwując z pod oka, że inni oficerowie wysuwają się pospiesznie z pokoju.

„Cała przyjemność po mojej stronie, panie kapitanie. Jestem pułkownik von Stammer z Defensywy Czwartej Armji. Czekałem na tę przyjemność już od kilku tygodni."

„O, czyżby?" zdziwił się Ruthven. „Tego nie przypuszczałem..."

„Ależ oczywiście". Widzi pan, że jestem szczery, kapitanie — chcieliśmy dostać nieco szczegółów co do pańskiego samolotu — hm, tego Nr. 6182, eksperymentalnego — prawda, że to ten? — od czasu wiosny, kiedy przyprowadził pan tę maszynę z Farnborough."

„Co takiego?" zapytał Ruthven, poruszając się z niepokojem.

„O tak. Ale w pierwszym tygodniu zestrzelił pan trzech pilotów, którzy mieli rozkaz, żeby — hm, ha, ha, ha" — jakby to powiedzieć?... Wówczas posłałem do Belgji po kapitana Wolffa i ten czekał pięć dni na okazję. Dostał polecenie oszczędzania samolotu przed ogniem, o ile się tylko da, przez zabicie pilota, albo unieszkodliwienie motoru. Ale cóż, i tak zrobił nam pan brzydki kawał."

„Ha, ha, ha" zaśmiał się szyderczo Anglik.

„To brzydki skandal, czyż nie? Po tylu trudach, jakie panowie ponieśliście. I tak, żeby tylko wiatr nie był przeciwko mnie, osiadłbym przed frontem. Ale dlaczego ten pański Wolff nie gonił mnie aż do końca?".

„Z tego będzie się kapitan Wolff zaraz tłumaczyć", rzekł von Stammer i pod maską jego ożywienia

ra, jakaś niechęć o „dwójkę" czy trójkę z minusem— jakieś wielkie i śmiesznie rozdęte nic.

×

Przeglądając te spiętrzone młodzieńcze rękopisy, w których często więcej jest błędów ortograficznych, niż oznak przyszłego talentu — mimowoli samemu sobie stawia się pytanie:

— Dlaczego młodzi pisarze z zadziwiającą jednomyślnością wybierają sobie dziedziny, w których najmniej mają do powiedzenia? Czemu interesują ich tematy, których rzetelne opracowanie wymaga długoletnich i żmudnych studjów naukowych?

Zainteresowania nie są niczem złem, stają się złem dopiero, gdy się przyoblbloką w wątłą formę kiepskiego wiersza, nudnego artykułu, lub szablonowej nowelki z krwawo zachodzącem słońcem na początku. Zawiłości psychologiczne wymyślane przez leniwych autorów są albo niezwykle banalne, kopjowane według pewnego szablonu trzeciorzędnych powieści — albo — jako się rzekło — zupełnie niezrozumiałe.

A przecież w życiu młodego autora tyle jest rzeczy prostych, ciekawych i pięknych! Nie trzeba ich szukać daleko, na wyżynach imaginacyjnej prawdy o „wielkim świecie". Znaleść je można blisko — w zasięgu własnego ramienia.

Ale nawet, gdy się o tych najbliższych i najprostszych rzeczach będzie pisało, mała z tego pociecha, jeśli ta piękna treść ujęta będzie w formę rozkiełznaną, pretensjonalną i chwiejną. Trzeba zrozumieć nareszcie, że pisanie jest przedewszystkiem rzemiosłem, którego uczyć się trzeba tak, jak każdego innego rzemiosła. Słowa trzeba ważyć, porównywać ze sobą, zanim się wybierze właściwe, zdania budować najprościej, nie rozmazując treści na długie okresy. Kropki i przecinki stawiać przyzwoicie i z namysłem.

×

Takie są oto nasze rady dla wszystkich, którzy piszą do „Kolumny Młodych Piór". A właściwie nie dla wszystkich. Są tacy, którym tłumaczyć tego nie potrzeba. Są między naszymi przyjaciółmi młodzi, pracowici pisarze, którzy przysyłają nam swoje utwory, najrzadziej, ale których rzetelny wysiłek twórczy umiemy zawsze ocenić.

Tym — nie będziemy rad naszych powtarzać. Szukamy ich wzrokiem po całej Polsce, a spostrzegłszy (co dla ludzi o pewnej fantazji nie jest rzeczą trudną) — mrużymy porozumiewawczo jedno oko:

— Servus!

J. P.

Dwie drogi kina

Ameryka jest, jeśli tak można powiedzieć, ojczyzną kina, ona uczyniła zeń potęgę oddając na jego usługi miljony dolarów i tysiące ludzi, ona je spopularyzowała monopolizując równocześnie w swych rękach cały prawie przemysł filmowy.

Wiemy to wszystko, jak wiemy również, co znaczy powiedzenie: amerykański dramat, lub komedja — jest to bowiem specjalny rodzaj utworów przystosowanych ściśle do warunków życia amerykańskiego.

---

ukazała się na chwilę powłoka lodu. „Zaprosiłem go na obiad. Do tego czasu, ordynans mój będzie za drzwiami. Proszę, niech mu pan rozkazuje — może cugar, może whisky...".

Obiad stał się bardzo sympatyczny i takim okazał się również i kapitan Wolff, którego znajomość angielskieo była obojętna, lecz dostateczna. Podano dużo trunków, chociaż pułkownik von Stammer drwił otwarcie z możności wydobycia z Ruthvena wojskowych tajemnic. „To tak tylko z czystej gościnności", tłomaczył. „Obawiam się, że już jutro wyślą pana do Karlsruhe, albo Schwarmstadtu, gdzie jedzenie nie będzie tak dobre".

„Obowiązany jestem za otwartość, panie pułkowniku", przyznał Ruthven. „Ale, panie kapitanie, Wolff, chcę panu szczerze podziękować za... za oszczędzenie mi życia".

Wolff sposowiał, poruszył się na krześle, unikając wzroku pułkownika.

„To jest...", zaczął i ręka jego, zapalająca papierosa, zadrżała. „To jest dla mnie nieco kłopotliwe, dlatego, że...".

„Dlaczego?", podawał von Stammer, „zaciął się panu karabin maszynowy, oczywiście — wszak tak?".

„Nie, panie pułkowniku, — nie chcę kłamać, karabin był w zupełnym porządku. Odstraszył mnie, tak, odstraszył najwyraźniej... czarny kot... który przeleciał mi na balonie przed maszyną".

„Coo?" ryknął von Stammer. „Czarny kot z balonem? Ależ panie Wolff — za dużo pan latał ostatnio... pańskie nerwy...".

„Nie, panie pułkowniku, to nie moje nerwy, ja tego nie wymyśliłem. Kot zawisł przedemną, opuścił się z chmury — a czarny kot oznacza dla mnie nieszczęście... śmierć... Bardzo mi przykro, ale", tu głos jego stał się głęboki — „ja wierzę w takie rzeczy...".

„Niech mnie licho porwie", wykrzyknął pułkownik. „Co to znaczy, kapitanie Ruthven — czy pan chce to potwierdzić i powiedzieć mi, że i pan to widział?".

„Nie", odpowiedział Ruthven", tylko hm, no, nic...".

„Niech pan mówi, proszę", nalegał pułkownik. „Co to takiego? Chyba niema w tem nic złego, jeśli pan nam powie. Przecież takie głupstwa nie mogą być zaliczone do tajemnic wojskowych?".

Zwolna w umyśle Ruthvena zarysowała się prawda i ogarnęło go niepohamowane oburzenie. „To zapewne brudny, podły kawał", krzyknął, zrywając się z krzesła, „wszystko mi jedno, czy to Anglicy, czy nie, ale to podła banda barbarzyńców... Opowiem panom, oczywiście, wszystko...".

Rozpatrując twórczość kinową wytwórni Hollywood z tego punktu widzenia z łatwością będziemy mogli wyjaśnić dlaczego filmy amerykańskie są właśnie takie, a nie inne.

Zarówno „happy end", jak i niezmierne tempo akcji powodujące całe steki nonsensów, jak wreszcie zupełne nie krępowanie się historją stylem odtwarzanej epoki i środowiska, wszystko to jest reakcją na codzienne życie społeczeństwa z którego rekrutuje się publiczność.

Robotnik z fabryki Forda, który przez osiem godzin dziennie przykręca setki tysięcy jednakowych śrób, czy muter; maszynistka, która wystukuje niezliczone szeregi liter na swym Underwoodzie, czy wreszcie bokser, który w maksimalnem napięciu muskółów i nerwów w czasie długich treningów usiłuje wybić przedni ząb swego przeciwnika, każdy z wyżej przytoczonych i tysiące im podobnych chcą za wszelką cenę zapomnieć o sobie. Chcą nie myśleć o niczem, tylko patrzeć na niezmiernie szybko mknącą taśmę filmową i nie potrzebować czynić żadnego wysiłku, nie smucić się, lecz przeciwnie śmieć się z byle czego, byle do najwyższego stopnia naprężone nerwy mogły odpocząć i wytrzymać zabójcze tempo jutrzejszej pracy.

Nic dziwnego, że w tych warunkach sztuka kinematograficzna Ameryki musiała się zdegenerować, że doszła do maksimum wymaganego tempa i bezmyślnych zawikłań zakończonych przez niezmienny „happy end" ze ślubem bohaterów i ukaraniem „czarnego charaktera".

Wprawdzie zasługą Ameryki jest stworzenie takich przemiłych i niezrównanie groteskowych nonsensów, jak choćby filmy rysowane Maksa Fleishera i tym podobne, jednak są to jedynie doskonałe na programy, które mogą uzupełnić dobrą sztukę, lecz nie są w stanie zastąpić ją.

Tym wszystkim brakom sztuk amerykańskich przeciwstawia się dość skutecznie produkcja europejska. Nie będąc obarczona utylitarnemi postulatami może ona dążyć do tworzenia filmów artystycznych, a rozporządzając wielowiekową kulturą jest w stanie uzgodnić wymagania kina z historją.

I oto znów zaznacza się odwieczny konflikt między kontynentem i Ameryką. Zaczyna się walka. Lecz Ameryka dotąd ma przewagę. Dają jej tę przewagę dolary.

Zarazem jednak przewaga Ameryki staje się klęską kina, które w ostatnich czasach doprawdy schodzi na coraz to niższy poziom dążąc zgubną drogą podobania się najniewybredniejszym i uważając za jedyne kryterjum wartości to, czy film się dobrze sprzedaje, czy też nie.

Tak oto w dziejach kina zaznaczyły się dwie drogi. Droga ku sztuce i ku wartościom estetycznym reprezentowana prawie wyłącznie przez wytwórnie europejskie (zwłaszcza Anglja), oraz droga ku taniemu poklaskowi najgorszej publiczności i ku miljonom dolarów reprezentowana przez największe wytwórnie amerykańskie.

Michał Ochorowicz.

GERTRUDA BELL

Imperjum Brytyjskie ma i miało wielu wybitnych pionierów w swych licznych zamorskich kolonjach — lecz niewielu z nich dorównywuje Gertrudzie Bell. Nazwisko jej choć głośne w Zjednoczonem Królestwie — mało jest znane na kontynencie.

Całe życie tej niezwykłej kobiety — to nieustanna włóczęga. Będąc córką bogatego właściciela hut i kopalń — mogła Gertruda bez przeszkód zajmować się swemi umiłowane-

„Tak, tak, dobrze, naturalnie", zachęcał pułkownik von Stamemr. „Są pewne rzeczy, których prawdziwie cywilizowane narody znosić nie mogą. Niech pan się napije, panie kapitanie, i niech pan nam powie...".

Ozwało się pukanie do drzwi i wszedł żołnierz, jedną ręką ocierając krew, płynącą z twarzy, a drugą ręką trzymając Wąsacza. Położył kota na krześle, podał pułkownikowi kopertę i stuknął obcasami.

„Von Intelligenz Hauptquartier, Herr Oberst", rzekł.

„A... oto pański kot, panie Wolff, zapewne", zawołał pułkownik". Zaraz zobaczę — hm, tak, opuścił się z balonem dzisiaj, według pomiarów w punkcie 7:2282.24, o godzinie ósmej wieczór. Sześć innych widzieli nasi lotnicy na tym samym odcinku... Wielkie nieba, co to znaczy, kapitanie Ruthven?".

Wielki Wąsacz, owinięty wciąż jeszcze tym samym bandażem opatrunkowym, którym go przywiązano do balonu, utkwił uporczywy wzrok w Ruthvenie; w oczach tych wielkich, żółtych oczach — był jakiś nakaz...

Nagle Anglik jęknął, rzucił się w tył, odsuwając swoje krzesło od stołu.

„Na miłość Boską", wrzasnął przeraźliwie. „Zabierzcie tego kota jak najdalej odemnie". „O, mordercy, setki takich samych wysłały nasze kolumny chemiczne za front... I wszystkie są zarażone wścieklizną i karbunkułem...".

„Mein Gott!", wykrzyknął pułkownik, przewracając stół i biegnąc do drzwi. „Schnell, Wolff — machen sie, dass Sie hier raus kommen. Bursche, wo ist der telefon, der telefon?".

Rozległy się głośne wołania, tupot butów i brzęczenie korbek telefonicznych. W mgnieniu oka założył Ruthven płaszcz i czapkę pułkownika i wymknął się na palcach do opustoszałej sieni.

„Droga jest wolna", szepnął, „chodź, Wąsaczu, musimy zrobić osiem kilometrów aż do frontu. A potem...".

Tuż przed świtem przed aerodrom zajechał samochód ze sztabu piechoty. Na tylnem siedzeniu siedział kapitan Ruthven, a na jego kolanach Wąsacz.

Kapitan rozmyślał o pewnych uwagach, jakie wkrótce zrobi przesądnym, młodym łobuzom, którzy wierzą w amorki i królicze łapki, a czarne koty przywiązują do balonów.

Wielki Wąsacz myślał o tem, jak to dobrze się stało, że maskotą kapitana Wolffa był zwyczajny policyjny pies — hałaśliwy rodzaj, który jest zupełnie niewykształcony w magicznej wiedzy.

Miał również nadzieję, że na śniadanie podadzą mu wątróbkę...

KONIEC.

mi zajęciami. Po skończeniu szkoły i wydziału historycznego w Oksfordzie — wraca do Londynu. Ojciec jej jest zdania, iż „zbyt wiele rozumów połknęła" i że jest zbyt samodzielna w wydawaniu sądów — przeto dla złagodzenia jej poglądów wysyła ją do Bukaresztu, gdzie przyjaciel jego zajmuje stanowisko ambasadora. Widocznie jednak stosunki dworsko-dyplomatyczne znudziły się prędko Gertrudzie, gdyż wkrótce wybiera się w podróż na wschód, do Persji, a później, licząc już około lat trzydziestu, wyrusza z bratem w podróż dookoła świata. W przerwach między temi wycieczkami zwiedza Europę.

W czasie jednej podróży na wschód, nauczywszy się języka arabskiego w Jerozolimie, wybiera się sama w podróż przez pustynię arabską. Podczas tej wyprawy zadzierzga wszędzie przyjazne stosunki z przywódcami poszczególnych plemion arabskich, których państwa mają nieustalone granice, i których uzbrojenie składa się z kilkunastu strzelb przedpotopowego typu. W obozowiskach koczowniczych beduinów opowiadają sobie dłuższe historje o tajemniczej angielce, która w nieznanych nikomu celach podróżuje po pustyni i stara się o zdobycie przyjaźni i zaufania szczepów arabskich. Z podóży wgłąb pustyni przywozi mnóstwo cennych materjałów naukowych i sporządza pierwszą dokładną mapę oaz pustyni arabskiej oraz podaje charakterystykę ich plemion.

Czasami — nie na długo wpada do stolicy. Nie może się jednakże oswoić z życiem Londynu, które wydaje jej się bezbarwnem i monotonnem.

Po wybuchu wojny europejskiej poświęca się z początku służbie samarytańskiej w czerwonym krzyżu, później jest jedną z organizatorek biura informacyjnego o zaginionych żołnierzach. Potem staje się — ze względu na swą znajomość języka i wschodu — doradczynią polityczną korpusu ekspedycyjnego, wysłanego z Indyj do Bagdadu, będącego wówczas ośrodkiem wpływów mocarstw centralnych. Po zdobyciu tego ważnego punktu przez angielskiego generała Maude, Gertruda poświęca się umocnieniu wpływów angielskich. Zakłada więc pierwszą gazetę arabską redagowaną w duchu proangielskim i zdobywa dla polityki brytyjskiej szereg wybitnych i wpływowych szeików. Za jej wreszcie interwencją — Anglicy obdarzają Irak demokratyczną konstytucją i nadają mu prawo wyboru władcy. Gertruda wysuwa swego kandydata na tron, którym jest szeik Mekki, emir Feisal, z którym zapoznała się za dawnych swych wędrówek i którego poglądy proangielskie są jej znane. Odbywa się głosowanie; Gertruda układa projekt ordynacji wyborczej, kaptuje sobie zwolenników wśród szczepów arabskich — i w czerwcu 1921 r. Feisal zostaje obrany królem Iraku. Teraz Gertruda ma lat pięćdziesiąt. Po obraniu jej kandydata zostaje jego doradczynią i nauczycielką. Doradza mu więc w jaki sposób ma się ustosunkować do komisarza angielskiego, udziela mu informacyj o stosunkach, panujących w kraju i o układzie sił wśród szczepów arabskich, uczy go geografji i historji plemion beduińskich, układa z nim listę gabinetu ministrów — jednem słowem spełnia rolę wielkiego wezyra nowoobranego kalifa. Zajmuje się też polityką zagraniczną nowego królestwa, kreśli linje graniczne przy ustanawianiu granic Iraku i redaguje raporty angielskich władz mandatowych do Ligi Narodów.

Dzięki wpływom Gertrudy Feisal zabiera się energicznie do europeizacji Iraku. Zamiast dotychczasowych turbanów i fezów — wprowadza niebieską czapkę szkocką — jako narodowe okrycie głowy. Miasto regulowane na wzór europejski otrzymuje kanalizację i wodociągi. Jednocześnie prowadzi się praca meljoracyjna i hygjeniczna. Wreszcie, dzięki zaprowadzeniu wielkich instalacyj do nawadniania — zaczyna się uprawiać bawełnę.

Gertruda tymczasem nie ustaje w pracy. Jej staraniom przypisać należy powstanie w Iraku muzeum wykopalisk i komisji do badań starożytności. Sama obejmuje stanowisko dyrektora instytutu dla studjów starożytnej historji Mezopotamji i zakłada wielką bibljotekę państwową. Nie danem jej jednak było kontynuować pracy kulturalnej — umiera bowiem w czerwcu 1926 r. na gorączkę tropikalną.

Feisal urządził jej pogrzeb wspaniały. Cała armja Iraku wzięła udział w smutnym obrzędzie, oddając zmarłej honory wojskowe — jako szefowi jednego z pułków arabskich — gdyż taką godność nadał jej emir Feisal, na prośbę plemion arabskich. *L. R.*

Ze świata książek

Jan Parandowski: Król życia.

Rozpowszechniony na zachodzie, a zwłaszcza we Francji, zwyczaj ujmowania życiorysów sławnych ludzi w formę powieści zaczyna i u nas zyskiwać prawo obywatelstwa.

Mamy „Powieść o Juljuszu Słowackim" — Wołoszynowskiego i sporo innych. Lecz na czoło tego typu utworów wysuwają się przedewszystkiem prace Jana Parandowskiego.

Zwłaszcza ostatnia książka tego autora p. t. „Król życia" której treść stanowi biografja Oskara Wilde'a jest bezsprzecznie najbardziej wartościowa z pośród naszych powieści - życiorysów.

Zaledwie trzydzieści lat minęło od śmierci jednego ze zdolniejszych i ciekawszych autorów angielskich. Dzieła jego, jak również jego słynne paradoksy, znane są szerokim masom czytelników, a życie jego zostało dotąd prawie zupełnie przemilczane. Dlatego też książka Parandowskiego, ma o tyle jeszcze większe znaczenie, że pozwala zapoznać się dokładnie z przeżyciami osobistemi Oskara Wilde'a, a co za tem idzie jest ważnym kluczem do zrozumienia jego twórczości.

Barwny i lekki styl książki doskonale harmonizuje z życiem „Lorda Paradoksa" i pozwala czytelnikowi bez znużenia właściwego, niestety, większości monografij śledzić z zaciekawieniem akcję powieściową utworu — a właśnie ta akcja, to życiorys.

Cytając więc książkę Parandowskiego zyskujemy podwójnie. Po pierwsze czytamy piękną i doskonale napisaną powieść, a po drugie zapoznajemy się z drobiazgowo szczegółową biografją jednego z ciekawszych przedstawicieli literatury angielskiej.

Janusz Meissner: Licznik z czerwoną strzałką.

Wszystkie utwory Janusza Meissnera, doskonałego i zasłużonego lotnika, oficera W. P. należą do zapoczątkowanego niedawno działu literatury, dla którego tematem stały się najnowsze wynalazki z dziedziny techniki.

Ogromny rozwój lotnicwa w naszych czasach spowodować musiał, że zainteresowały się niem wszystkie cywilizowane społeczeństwa. Jeśli dodamy do tego emocje i duże wartości fantastyczno - poetyckie tego już dziś niemal sportu — to z łatwością zorjentujemy się, że lotnictwo ma zapewnione w literaturze poczesne miejsce.

Jednym z ważniejszych czynników potęgujących wartość utworów literackich jest dokładna znajomość opisywanego środowiska. Z tego to właśnie powodu większość ukazujących się dość często w różnych pismach nowel lotniczych nie posiada żadnych walorów artystycznych. Temat stał się modny, a więc o nim piszą, oto wszystko.

Na tem tle banalnego głupstwa ujawnia się dopiero całkowita wartość działalności literackiej Janusza Meissnera. Jest on bodajże pierwszym u nas autorem, który pisze o lotnictwie zarazem ciekawie i fachowo, spełniając równocześnie ważną misję popularyzatorską. Mówi bowiem w swych doskonałych nowelach lotniczych tym wszystkim, którzy może w inny sposób nie zainteresowaliby się awjacją o przeżyciach najbardziej współczesnych bohaterów - zdobywców przestworzy.

Każdy, kto choć raz sam latał z zaciekawieniem czytać będzie „Licznik z czerwoną strzałką", a przecież takich, co latali jest już bardzo wielu, a z każdym dniem będzie ich jeszcze więcej.

M. O.

KRONIKA SPORTOWA

Oto zbliża się koniec roku. Zrywamy ostatnie kartki z kalendarza — te najpiękniejsze. Święta Bożego Narodzenia, noc Sylwestrowa...

Sanki wiejskie zwożą już choinki do miasta, no i — żeby wszystko odbyło się ściśle według wiekowiecznej tradycji — pruszy śnieg.

Śnieg — magiczne słowo. Dawniej — łączyła się z nim w wyobraźni tylko broda Świętego Mikołaja, no i szaliki, pledy, baszłyki, kalosze, chusty. I trochę, trochę — sanki.

Dziś — mówiąc śnieg, myślimy przedewszystkiem o nartach. Czasy się zmieniają.

W każdym razie — sezon sportów zimowych się rozpoczął. Niektórzy, wybrańcy czy wygodnisie — pojadą sobie na sztuczny lód do Katowic, gdzie oto właśnie z wielką i słuszną pompą otwarto pierwszy w Polsce sztuczny tor, tak dla podniesienia poziomu naszego zawodniczego łyżwiarstwa i naszego hokeja potrzebny. Większość jednak olbrzymia amatorów i wielbicieli śniegu i lodu do Katowic nie pojedzie, a wybierać się będzie na zamarzły staw i na faliste zbocza pagórków. I dozna tam niemniej prawdziwego, głębokiego szczęścia, niż tamci wybrednisie na sztucznej ślizgawce.

Wybierać się będzie? Nie — już się wybrała. Oto Agrykola: w niedzielę przejść nie można — zgrzytają zaczepnie płozy saneczek, a tam, na dole, jakiś nowicjusz uparcie się przewraca na nartach, zgłębiając tajemnice chodów płaskich...

Nie, nie śnieg czeka na naszą młodzież, a ona niecierpliwie na śnieg, na przymrozki czekała, ostrząc łyżwy i smarując narty.

Dla młodzieży z przed dwudziestu pięciu lat zima — to było przykre słowo. To było stałe obawianie się kataru, przebywanie w dusznej atmosferze pokoju, między wiecznie gorącym piecem i zakitowanemi oknami. To były pledy, szaliki, baszłyki, futerka, kalosze.

Dziś tego już niema — i choć nachodzi nas od czasu do czasu grypa — to jednak mamusie nie przerażają się, gdy potomstwo rozbawione hasa po śniegu bez czapek i kaloszy i przebywa godzinami na mroźnem, ale zato naprawdę świeżem powietrzu. Bo wiedzą, że hart — to właśnie najlepszy środek przeciw grypie, i że katar staje się staroświeckim zabytkiem z chwilą, gdy się go przestajemy obawiać. By nie marznąć — jedyny sposób nigdy się zbyt ciepło nie ubierać. By się nie przeziębiać — jedyny sposób — otwierać okna na rozcierz. By być zdrowym — jedyny sposób — nie bać się choroby; by się móc naprawdę cieszyć z życia — jedyny sposób — życie te wykorzystywać w całej pełni, nie ograniczać się bez potrzeby.

Zima, śnieg. Nie patrzmy na nie przez okno, bojaźnie a zarazem pożądliwie, a tarzajmy się w tym śniegu bez obawy, jeśli saneczki się wywrócą, i nasycajmy się zimą ile się da, z przyjaciółką łyżwą, z przyjaciółką nartą w kompanji, i nie czekajmy, aby nam choinka się ukazała w cieplutkim pokoju, upstrzona świecidełkami, a idźmy ją podziwiać swobodnie rosnącą — nie na krzyżakach — i gładzoną podmuchami mroźnego wiatru, zrzucającego z zielonych gałązek przecudowne kryształiki szronu.

Wtedy dopiero ostatnie kartki kalendarza będą naprawdę najpiękniejszemi, najmilsze wspomnienia budzącemi..

HUMOR

Alfons Allais czekał pewnego dnia na dworcu na pociąg. Dla zabawy włożył drobną monetę w szparę umieszczonego na dworcu automatu i wyjął z niego tabliczkę czekolady. Wówczas zawołał służącego stacyjnego i powiedział:

— Chciałbym rozmówić się z naczelnikiem stacji.

— Naczelnik stacji teraz je śniadanie.

— Proszę go zawezwać, muszę z nim pomówić.

Po kilku chwilach nadbiegł naczelnik stacji z pełnemi ustami, z serwetką w ręku.

— Czy to pan mnie wezwał?

— Tak, panie naczelniku. Kazałem pana zawezwać, aby panu powiedzieć, że tutejszy automat funkcjonuje bardzo dobrze.

— I z tego powodu przeszkadza mi pan?...

— Tak, panie naczelniku. Przeczytałem na automacie że w razie złego funkcjonowania należy zwrócić się do naczelnika stacji. Uważam więc za słuszne, że w razie dobrego funkcjonowania, panu należy się pochwała.

NASTĘPNY NUMER „S T E R N I K A" UKAŻE SIĘ DNIA 10 STYCZNIA ROKU PRZYSZŁEGO.

Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Chmielna 33 m. 5, tel. 639-86. Konto P. K. O. 21355. Redaktorzy przyjmują interesantów w poniedziałki i czwartki od 6 do 7 popołudniu. Administracja czynna od 9 rano do 3 pp.

Cena prenumeraty: w Warszawie (z odniesieniem do domu) i na prowincji (z przesyłką pocztową) miesięcznie 1 złoty, — kwartalnie 3 złote, półrocznie 5 zł. 50 gr., rocznie 10 złotych. Zagranicą o 25 groszy miesięcznie drożej.

Ceny Ogłoszeń: Jednorazowo, 1/1 kol. — 200 zł. 1/2 kolumny — 100 zł., 1/4 kol. — 60 zł. 1/8 kol. — 35 zł. 1/16 kol. — 20 zł. Przy ogłoszeniach wielokrotnych ceny niższe.

Redaktorzy: W. Prażmowska i Z. Zieleniewski. Sekretarz red. M. Ochorowicz. Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Z. Zieleniewski.

Drukarnia Artystyczna, Warszawa, Nowy Świat 47, tel. 635-80, 635-83.